Nr. 20. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 zlr. 40 c.

Poznań, 13 Maja 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5.
Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg.)

Wszystko to jest prawdziwe, co Cuvier i jego szkoła utrzymuje; ale on sięga tylko stosunków popotopowych. Zaś epoka pierwotna ziemi naszéj, którą Buffon na 60,000 lat naznacza, i epoki po niéj następne, kiedy skorupa globu mniéj była ostudzona, kiedy u biegunów były ciepła, a u równika gorąca, przedstawiać musiały inne warunki dla genealogji zwierząt, niżeli są dzisiej sze. Dziś jeszcze jajko pszczelne, włożone w zwykłą ciasną komórkę plastru, wylęga bezpłodną pszczołę, a włożone w dużą komórkę wylęga samca lub samicę. Cóż dopiero musiały być za zmiany w tak olbrzymich warunkach termicznych i klimatycznych w odległych perjodach żywota globu naszego! Cuvier nie znalazł śladu człowieka przed potopem, więc wywnioskował, że naraz się stworzył po potopie. Wszakże żyć wtenczas mógł człowiek pod niższą formą, której szczątki Cuvier wziął za szczątki jakiéj małpy.

Oto są wywody, które autor filozofji natury stawia naprzeciw teorji Cuviera. Dla czegoby — powiada — człowiek zanim został człowiekiem, nie mógł być w warunkach przedpotopowych, nieznanych nam, istotą tak różną od siebie, jak żaba różną jest od kijanki? (str. 185). — Zdaniem naszém teorja autora za daleko go unosi w przypuszczenia, bo w nieznane stosunki przeszłości naszego globu, gdzie wolne pole dla najrozmaitszych domysłów. Przyjąć można za pewne, że ziemia nasza do coraz doskonalszych zmierzała tworów, którym stósowne obmyślić wprzódy musiała warunki życia, tak pod względem siedziby, jak pokarmu i klimatu, i że ostatecznie doszła do utworu człowieka, władzami intelligencji obdarzonego, któryby pojął siebie, Boga i naturę. Ale z tego nie wypada, aby człowiek był kiedyś monadą, jak to chciał mieć De Lamarck; aby w kolei długich wieków jeden gatunek zwierząt przechodził w drugi doskonalszy, aż się wyłonił w małpę, a z małpy może w człowieka. Różnica między człowiekiem a najdoskonalszém zwierzęciem jest ogromna, choćbyśmy ją tylko w saméj mowie uważali. Że człowiek zezwierzęcić się może, a niejedno zwierzę przenosi go swojemi właściwościami mocy, szlachetności, przywiązania, nic to rzeczy nie ubliża, boć człowiek jest zwierzęciem i duchem razem, a zwierzę we właściwościach swoich jest wyrazem mądrości Stworzyciela, chociaż nie jest duchem.

Gdzie duch jeszcze jest w zarodku i natura zwierzęca przemaga, tam i podobieństwo między ulężonem małpiątkiem a urodzonem dziecięciem jest tak wielkie, że trudnobyś istotnéj dociekał między niemi różnicy. Ale odkąd umysł w istocie ludzkiéj rozwijać się zaczyna i władze duchowe budzić się poczynają, od razu powstaje różnica w dalszéj formacji głowy i czoła u dziecięcia i u małpięcia. Tu w tył się cofają kości czoła, a na-

przód się podają szczęki i zęby, przedłużają się rury ramienne i łokciowe. Tam zaś w harmonijną utaczają się całość, dając większą przestrzeń mózgowi, a mniéj wydatną objętość narzędziom jedzenia. Zgoła widać, gdzie formuje się człowiek, a gdzie zwierzę. Popatrzmy na szkielet małpy Gorilla i szkielet człowieka, tak dziwnie sobie podobne, które p. Levittoux w rysunku w dziele swojém przytoczył, a dostrzeżemy już w szkielecie tam znamiona grubéj zwierzęcości, tu nadobne znamiona człowieczeństwa.

Istoty człowieka-małpy nie znamy, ani pojmujemy, jeżeli to ma być postać ludzka z fizycznemi i intellektualnemi przymiotami małpy, bo sam język, którego małpa nie ma, a ludzie go między sobą używają, już ogromną stanowi różnicę. Postęp między ludźmi ku doskonałości, zaś stagnacja u każdego gatunku zwierząt, dowodzi że tam duch włada, tu przyrodzone niezmienne właściwości. Nie widziałem kości ludzkich, odkrytych w pokładach czwartorzędnych, od tysięcy tysięcy lat złożonych w ziemi (str. 185). Ale jeżeli te kości przedstawiają nie człowieka, ale człowieka-małpę, utrzymywałbym, że to szkielet małpy nie człowieka, boć tu już nie żywot, ale forma kości zdaniem naszém kieruje, czy je za małpie, czy za ludzkie poczytać.

Kiedy i w jaki sposób człowiek powstał na ziemi, jeżeli odrzucimy geogonią Mojżeszową, z trudnością, i bodaj, czy fizjologja odgadnie. To tylko pewna, że nie posiadamy żadnego śladu, aby z niższego gatunku zwierząt, n. p. z małpy czy Gorilla, czy orangutana, gatunek ludzi rozwinął się. Autor opiera się wprawdzie na geologji p. Beudant. który powiada, że jeżeli był człowiek przedpotopowy, to szczątki jego odnaleźćby się musiały w pokładach podmorskich; ale przy wystąpieniu z morza Tenara znaleziono tylko szczątki pierwotnéj industrji człowieka. Z tych słów wnosi autor: żył więc człowiek przed potopem, skoro znaleziono ślady dzieł jego ręki (str. 192). Wniosek ten zdaje mi się za porywczy i byłby się musiał nastręczyć i p. Beudant, gdyby był prawdziwy. Ale warstwy podmorskie nie zawsze są przedpotopowe. Tworzą się bowiem na pokładach przedpotopowych, morzem zalanych, warstwy iłu i wszelkiego napływu, w których zachować się mogły ślady pierwotnéj industrji człowieka, nie z czasów przed, ale po-potopowych, przypadkiem na morzu uronione Odnalezione liczne zabytki z epoki tak nazwanéj kultury kamiennéj, w któréj nie znano ani obrobienia, ani użytku metalów, wskazują na nader szczupły rozwój przemysłu ludzkiego, a jednak sięgają czasów po-potopowych. Potrzebaby więc bardzo dokładnéj geologicznéj krytyki, ażali pokłady Tenaru, w których znaleziono owe ślady pierwocin przemysłu ludzkiego, do przedpotopowych pokładów ziemi, czy téż tylko do napływowych należą.

e) *Związek trzech królestw natury i teorja zapładniania się wszech tworów.*

Autorowi głównie chodzi o przekonanie, że natura w siłach najróżnorodniejszych jest jedna, bo inaczéj działaćby na siebie nie mogły ani siły proste, ani siły żywotne, ani siły intellektualne, i w ogóle działaćby nie mogły na materją, gdyby między nią a siłami prostemi najściślejszego nie było związku. Chociaż więc jedność typów zwierzęcych, roślinnych i martwych starczyć powinna za dowód, że acz na każdym kroku jest rozmaitość, to jednak w téj rozmaitości wszędzie jest jedność, przytoczony widzimy nowy dowód, wzięty ze związku trzech królestw natury, który się ze związku samych typów podaje.

Z powodu téj jedności, nader jest trudném rozgraniczenie jednego królestwa tworów od drugiego. Nie dostrzeżono nerwów w roślinach, ale być one tam muszą, bo gdzie się odbywają funkcje żywota, tam i nerwy czyli organa tych funkcji być muszą. Mimosa (czułek) za zbliżeniem obcego ciała, zamyka swe listki. Pan Bretonneau uśpił chloroformem roślinę i uśpiona żadnych znaków czucia nie dawała. Widzimy tu to samo działanie chloroformu na roślinę, co na nerwy zwierzęce.

Łatwość rozmnażania się roślin przez wsadzone gałązki i listki w ziemię — bo i liść cytrynowy lub figowy, wsadzony szypułką w ziemię przyjmuje się i w drzewo wyrasta — przechodzi do niższych warstw królestwa zwierzęcego. Porznij najadę, wzdłuż lub poprzek ciała, a z każdego kawałka nowa najada odrośnie. Odcięta część nogi hydrze (zwierzokrzewowi wód słodkich) w całą hydrę odrasta. W wyższych tworach n. p. u ryb i płazów, odtwarzają się odcięte łapki, skrzele, a nawet oko jeżeli nerw i błony oczne były zachowane. W najwyższych tworach, zabliznują się rany, odrastają odcięte włosy i paznogcie, pozostaje uczucie odjętéj nogi lub ręki.

Zapłodnienie u roślin i zwierząt jest jednakie, potrzeba zetchnięcia się pyłku czy nasienia męzkiego z żeńskim, nawet na prostéj mechanicznéj drodze, tak jak żaba samiec zaradza wylężone już jajka samicze. Czém jest macica dla zwierząt, tém jest ziemia dla roślin. Rozmnażanie się roślin przez pączkowanie, postrzegamy także u wymoczków (Vorticella), u polipów, u hydry, a mianowicie na annelidzie, którą obserwował Milne Edwards. Z boku ciała tworzy się pączek, dojrzewający kanałem z wnętrza matki, a skoro dojrzał, że indywidualnie już żyć może osobném życiem, odpada od matki.

Zwierzęta są tylko wyższą metamorfozą roślin. Nim natura zdobyła się na mózg intellektualny, potworzyła wprzody u niższych zwierząt liczne gangliony nerwów, dających możliwość, że rozkrajane zwierzątko z każdéj cząstki w całość odrasta. I te gangliony nie giną, ale jeszcze w człowieku obok mózgu odbywają funkcje wewnętrznego organicznego życia.

Jak między królestwem roślin i królestwem zwierząt, tak i między klasami zwierząt samych nie ma ścisłego rozgraniczenia. Ryby wzlatują na skrzelach, jakby na skrzydłach. Bezlotek z głową spłaszczoną jak ryba, więcéj zdaje się być rybą niż ptakiem. Nietoperz jest zwierzęciem ssącem a lata w powietrzu; wieloryb żyje we wodzie, a żywo rodzi, jak zwierzę ssące. Karmienie, trawienie, oddychanie, krążenie krwi lub soków, mnożenie się z rodziców, jest wszystkim zwierzętom wspólne; a proteusz ma bronchie jak ryba do oddychania w wodzie i ma płuca do oddychania w powietrzu.

Między królestwem tworów martwych i nieorganicznych ten sam nierozerwany związek, już dla tego samego że twory organiczne, rozłożone na swe cząstki, z samych ciał nieorganicznych się składają, to jest z gazów i minerałów. Ztąd i w człowieku odbywają się procesa zwierzęce, roślinne i proste. Kapilarność w ciałach martwych, wskazuje na pierwszą myśl postępowania płynów w górę. Kryształy dają pierwsze zarysy roślinności. Zwierzokrzewy są przewróconém na wywrot zwierzęciem, aby systemem kości swych łączyły się z wapieniem i ze stwargłemi formami ziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Wiadomo nam z topografji Babiéj wyspy, którą na początku powieści podaliśmy, że aby przejść od państwa Tuckich do swojego mieszkania, Pilski nie potrzebował utknąć na żadnéj z tych czat potrójnych, które bystrem okiem śledziły każde jego poruszenie. Drzwi do jego mieszkania znajdowały się tak samo w bramie, jak drzwi gospodyń i Tuckich.

Bohater nasz wrócił też spokojnie do swojego pokoju, podejrzywamy go jednak, że się domyślał iż był śledzonym, bo robiąc te kilkanaście kroków, ktore go oddzielały od świeżo poznanych sąsiadów dziwnie jakoś manewrował oczyma w strony wszystkich trzech zasadzek, a uśmiechał się jeszcze dziwniéj, powtarzając sobie w duchu:

— Ziarno niezgody już zasiane... będzie rosło!... o! będzie rosło!...

Wszedł do siebie spokojnie, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, drzwi zamknęły się za nim tak, jak się zamykały każdodziennie, słowem, nic nie zdawało się zapowiadać niczego nadzwyczajnego.

Jak tylko jednak drzwi się za nim zamknęły, natychmiast z za furtki od podwórza wysunęła się ciocia Petronela, z za furtki od ulicy wbiegła Kazia, a z za drzwi własnego mieszkania, chodem niepewnym i zdradzającym gwałtowne wzruszenie, kroczyć zaczęła ku środkowi bramy panna Iza w własnéj osobie.

Twarze wszystkich trzech wyrażały pytanie, zdumienie, zgrozę, słowem taką mięszaninę uczuć i wrażeń, jakiéjby najbieglejszy fizjonomista nie zdołał z analizować i rozebrać na składowe pierwiastki.

— Widziałyście? — zagadnęły wszystkie trzy razem półgłosem bardzo mało różniącym się od szeptu.

— Widziałyśmy, — odpowiedziały wszystkie jednocześnie.

— W rękę ją pocałował!... — zawołała panna Petronela.

— Dwa razy!... — jęknęła panna Iza.

— I to tak długo jakby mu się usta przylepiły do jéj ręki, — dodała Kazia.

— Patrzył jéj w oczy, — recytowała daléj ciocia.

— Wzdychał... doprawdy wzdychał, — lamentowała z kolei najmłodsza z rodu Rękalskich.

— Ale jak wzdychał... jak miech kowalski, — zauważyła Kazia.

Panna Iza podniosła oczy w górę, załamała ręce, aż w nich wszystkie stawy zatrzeszczały, i nie głosem już, ale samą rozpaczą i oburzeniem zasyczała:

— Żmija!....

Wykrzyknikowi temu towarzyszyło spojrzenie skierowane ku drzwiom, na których świeciła zdala mosiężna blacha z napisem: „Augustyn Tucki, doktór medycyny i chirurgji.“

Ktoby chciał opisać spojrzenie, pod którego potęgą kamienieli ludzie, a nie wie jak ono wyglądało, niechaj się zapyta téj blachy.

Po wykrzykniku panny Izy nastąpiła długa chwila milczenia.

Podczas całéj téj sceny nie było nikogo za furtkami od ulicy i od podwórza, i nikt z pomieszkania gospodyń nie wysuwał noska, ale za to drzwi Pilskiego, owe obłudne drzwi, które się tak spokojnie niby za nim zamknęły, miały widoczną febrę, bo się uchylały i zamykały co chwila, a za każdém ich uchyleniem się, ukazywało się o półtoréj stopy po nad klamką coś bardzo podobnego do wąsów...

Jeżeli to naprawdę były jakie wąsy, to już niezawodnie należeć musiały do naszego cierpiącego na charakter bohatera, wiadomo nam bowiem najdokumentniéj, że w owéj chwili w jego kawalerskiem mieszkaniu żadnych innych wąsów oprócz jego własnych nie było.

Pod temi niby wąsami kryło się coś niby uśmiech i niby wyrażenie tryumfu.

Tryumf ten przecież był przedwczesny.

Czytelnik, a zapewne i ten, co całą tę tragiczną scenę wywołał, był przekonanym, że dopatrzywszy tak swego domniemanego narzeczonego, wpadającego czy wciągniętego gwałtem w sidła doktorowéj, panna Iza odwoła się do siòstr, zawrze przymierze z ciocią Petronelą, wciągnie do spisku Kazię, postara się o sympatyczną neutralność innych lokatorów i tak przygotowana rozpocznie zaciętą wojnę z panią Tucką, wojnę na te drobne ale bolesne dokuczania, w których tyle wprawy i tyle.... darujcie czytelniczki, na kolanach błagam, darujcie, ale ten wyraz wypowiedzieć muszę... i tyle okrucieństwa okazują zwykle kobiety.

Do tego jednakże nie przyszło.

Oprócz wielu innych zalet, o których już była mowa, panny Rękalskie posiadały jeszcze jedną, któréj teraz oddać musimy najwyższe uznanie, — bały się jak ognia wszelkiéj gwałtowności, wszystkiego co choćby w najdalszém podobieństwie zakrawać mogło na kłótnię, a pani Tucka była osobą niedającą się, jak to mówią, zjeść w kaszy, i kiedy ją kto zadrasnął nie oszczędzającą języczka, ale owszém umiejącą go używać do walki zaczepnéj i odpornéj jak najwytrawniejszy fechmistrz używa rapiru lub floretu. Przed taką potencją panny Rękalskie składały broń, to też scena, któréj początek opisaliśmy przed chwilą, nie skończyła się żadnemi wojowniczemi planami.

Trzy reprezentantki rozmaitych wieków panieństwa: stara panna, panna na wydaniu i panienka-podlotek, usiłująca być jeszcze dzieckiem, po dosyć długiém milczeniu położyły sobie palce na ustach, z trojga ich usteczek wybiegło ciche „pst“, któremu towarzyszyło wzruszenie ramion i spojrzenie skierowane na mieszkanie Tuckich i rozeszły się, mówiąc do siebie:

— Nie ma rady!... stało się!... nieszczęście!...

Ciocia Petronela poszła opowiadać całe zdarzenie paniom Gącińskiéj i Porwiczowéj, Kazia pospieszyła zdać relację o zajściu Jadwidze, panna Iza poszła do domu i rzekła do siostr:

– Tucka mi go wydarła!...

Siostry spojrzały po sobie, łzy im się zakręciły w oczach. Pokładły robótki, zbliżyły się do panny Izy, chciały ją widocznie pocieszać, ale panna Iza odgadła ich intencję, bo giestem zatrzymała je w pół drogi i odeszła do swego pokoiku...

Co tam robiła, niewiadomo, ale nazajutrz miała oczy bardzo czerwone i ani razu nie pokazała się w ogródku.

IX.
Dalsze kroki nieprzyjacielskie.

Bohater nasz spudłował.

Zdawało mu się, że wywoła wojnę, wojny nie było.

Musiano się doskonale zabezpieczyć od strony Kazi, gdyż badał ją napróżno i nie mógł się od niéj nic dowiedzieć o wrażeniu, jakie wywołały jego pierwsze obroty strategiczne. Niby-dziecko prześladowało go wprawdzie konsyljarzową, ale czyniło to w taki sposób, że z tego nie mógł dokładnie wywnioskować jakie zrobił wrażenie.

Zaczynało to na serjo gniewać naszego bohaterka.

Prawdę mówiąc, dziwną byłoby rzeczą, żeby człowiek rozsądny mógł się tak zająć tego rodzaju sprawą, jaką przedsięwziął Tucki, i żeby niepowodzenie tak błahych planów mogło go przyprowadzić aż do gniewu, — lecz od dni kilku, od czasu jak sobie postanowił zażywać podwójne dozy leków doktora Augustyna, Pilski stawał się codzień draźliwszym, lada co go gniewało, oburzało, zapalało albo kwasiło, system jego nerwowy stawał się czułym na najobojętniejsze przedtém wrażenia.

Czy to nie był skutek nadmiaru lekarstw?... czy to były następstwa jakie pragnął wywołać doktór Tucki, tylko objawiające się na zbyt wielką skalę, czy téż następstwa wprost przeciwne zamierzonym przez niego?...

Odpowiedź na te pytania pozostawiamy dalszym wypadkom, tutaj konstatujemy tylko fakt (używając wyrażenia ulubionego w dziennikarstwie galicyjskiem w ogóle, a w krakowskiém w szczególności).

Wrażliwość naszego bohatera była tak dalece podniecona, że gdy raz, siedząc najspokojniéj w swoim pokoju i paląc papierosa, spostrzegł przez okno wychodzącą na chwilę do ogródka Jadwigę, — zerwał się z krzesła, rzucił papieros na podłogę i napadła go tak gwałtowna chęć stłuczenia czegoś, że całe szczęście iż nic kruchego, oprócz jednéj szklanki nie miał pod ręką, a reszta była pozamykana w szafce, bo byłby sobie zniszczył całe swoje gospodarstwo.

Na ten paroksyzm wszedł do niego doktór Tucki i przypatrywać mu się zaczął ze zdumieniem. Widocznie skutki lekarstwa nie zupełnie zgadzały się z jego przewidywaniami.

Pilski upozorował stłuczenie szklanki tém, że się przypadkowo sparzył papierosem, kładąc go do ust ogniem przez roztargnienie, i że z bólu machnął ręką, skutkiem czego szklanka spadła ze stołu, ale tłomaczył to z taką niecierpliwością, z takiém dąsaniem się, że doktór nie mógł się pomylić.

Coś się mięszało w jego rachubach, namyślał się więc, kombinował.

— Doza była zasilna, — rzekł do siebie, — albo téż skutek niewłaściwy.

Rozważał jedno i drugie, ale nie mógł przypuścić, żeby przepisał zbyt silne lekarstwo, posądził się więc raczéj o pomyłkę co do użycia środka.

Zapisał coś innego; Pilski patrzył na niego wzrokiem najwyraźniéj szyderczym, a gdy Eskulap skończył pisać, rzekł zgryźliwie:

Przyznaj się konsyljarzu, że cała twoja kuracja djabła warta...

— Dla czego, kochany sąsiedzie? — zapytał najłagodniéj Tucki.

— Chcesz mnie niby wyleczyć z usposobienia drażliwego, z choroby charakteru, która mnie czyni przykrym dla innych, a tymczasem nie z powodu twoich leków, bo w nie nie wierzę, ale ot tak po prostu, dla tego że już taki się urodziłem... jestem teraz w takiém usposobieniu, że gdybym miał naprzykład z sobą żonę, ciotkę, matkę, siostrę, kolegę, przyjaciela, szlafkamrata, toby odemnie chyba w ciągu półgodziny za dziewiąte morze uciekli...

Doktór milczał.

— Powiesz mi zapewne, szanowny Eskulapie, — prawił daléj Pilski, — że było twoim zamiarem wprowadzić mnie w takie usposobienie?...

— Tego nie powiem... chociaż...

— Chociaż?... ciekawym téj nowéj blagi...

— Chociaż wiadomo zapewne sąsiadowi, że medycyna bardzo często leczenie choroby zaczyna od rozmyślnego spotęgowania pewnego jéj objawu, naprzykład gorączki...

— Otóż masz, — przerwał Pilski, — wiedziałem, że tak będziesz śpiewał, doktorze... ale nie dziś... nie dziś... dziś mnie lada co złości, dziś śmiać się nie potrafię... mógłbym panu co przykrego powiedzieć... daj mi pan pokój.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z wieczornych pieśni

Witosława Haika.

(2.)

Jak ów rycerz z baśni staréj,
W świat pobiegłem siostry moje!
Aby ujrzyć cud dziewoję,
Co róż kwiecia gasi czary.

Lecz kto na nią, — biegły wieści, —
Okiem rzucić się ośmieli:
Albo w martwy głaz się wcieli,
Lub mu pęknie pierś z boleści.

Serce pęknie?... Wszak to życie
Dojdzie kiedyś swojéj mety...
I rozdarłem pierś, w zachwycie,
Z klątwą biorąc los poety.

(40.)

Gdyby tak Pan Bóg w jednéj godzinie,
Miłość chciał zabrać światu?
Świat by się w głuchą zmienił pustynię,
Dziką, bez kwiatu.

Środkiem, błądziło by zatrwożone
Serce, od żalu schnące.
Świat był by mroczny, jako dni one
Nim Bóg dał słońce.

A taki smutny — że nawet życie,
Ludziom, byłoby wrogiem...
Że by mu nawet Bóg na błękicie,
Nie chciał być Bogiem.

Wł. Bełza.

Witosław Halek

(poeta czeski).

Od niejakiego czasu zaczęły się w pismach poznańskich ukazywać przekłady drobnych utworów lirycznych Witosława Hálka, czytelnicy nasi mieli więc sposobność poznać choć z małych i nielicznych próbek poetę wyższym prawdziwie obdarzonego talentem, ulubionego pobratymczemu nam ludowi, z tego powodu sądzimy, że kilka szczegółów z życia tego pieśniarza nie będą dla nich obojętne.

Witosław Hálek ma otwartą przed sobą szeroką i świetną przyszłość, dziś bowiem, licząc zaledwie lat 36 (urodzony w r. 1835 w Dolinku w Czechach) zajmuje już jedno z najwybitniejszych stanowisk w literaturze swojego narodu. Początkowe wychowanie odbierał w Niemczech, następnie zaś w latach 1848—1855 przeszedł i ukończył gimnazjum staromiejskie w Pradze. Lata jego pobytu w téj szkole przypadły właśnie na najlepszą chwilę, kiedy młodzież czeska przychodziła do poczucia narodowości i wolności, i z zapałem garnąć się zaczynała do nauki. W liczbie nauczycieli Hálka spotykamy imiona ludzi, którzy w dziejach owego rozbudzenia się czeskiego ducha zaszczytne zajmują miejsce, jak: Fr. Svoboda, Szumavsky, Sztulc, Klicpera i Zeleny. Pod kierunkiem takich mężów, w towarzystwie kolegów, którzy w młodzieńczych duszach nosili myśl nowéj ery dla ojczyzny, obdarzony zresztą wrodzonem zamiłowaniem do umysłowej pracy, Hálek już na ławie szkolnéj poznał całą literaturę czeską, przeczytał Mickiewicza, Puszkina, Kollara, Szekspira i Sofoklesa, i na ławach szkolnych spróbował swojéj lutni. Utwory jego takie mu imię zrobiły między kolegami, że inni aspiranci do autorskiéj sławy zgromadzili się koło niego, i grono gimnazjastów, nieczekając na urzędowne przyznanie sobie maturitatis umysłowéj, poczęło wydawać dla kolegów pisaną gazetkę p. n. Varito.

Podobne zachcianki literackie bywają na ławach szkolnych dosyć częste. Piszący te słowa, w końcu r. 1851 był także założycielem i redaktorem podobnego pisma w siódméj klasie warszawskiego gimnazjum. Na wzór tego pisemka inni koledzy zaczęli wydawać inne gazety; obudził się formalny ruch literacki, o którym po kilku miesięcach dowiedziała się władza szkolna i uznała za stósowne stłumić go w pełni rozwoju, a redaktorów, głównie zaś podpisanego, ukarać długogodzinnym aresztem o chlebie i wodzie. Był to koniec bardzo tragiczny dla młodociannego piśmiennictwa, ale szkolne redaktorstwo Hálka jeszcze tragiczniéj dla niego ukończyć się mogło, bo nie profesorowie lecz policja wpadła na trop studenckich gazet i wyśledziła redaktorów nie składających kaucji i nie opłacających stempla.

Pod rządem austrjackim i dziś jeszcze prasa okaucjonowana i ostemplowana, księgarstwo zależne od koncesji, które tylko nieposzlakowani otrzymywać mogą, kolpoterja pism i broszur podlega tysiącznym trudnościom, a sprzedaż uliczna gazet jest uważana za coś mogącego nazajutrz sprowadzić najkrwawsze przewroty społeczne, — domyślimy się więc łatwo, jak się na tego rodzaju odkrycia zapatrywali policjanci przed dwudziestu laty, niedługo po stłumieniu owych wstrząśnień, które w r. 1848 zachwiały w posadach starym europejskim porządkiem. Hálka dwukrotnie pociągano do badań, spisano z niego protokół obejmujący siedemnaście arkuszy, w literaturze gimnazjalnéj wietrzono spisek, indagowano nauczycieli, i wykryto, że do redaktorów studentów na żaden sposób nie dały się zastosować artykuły praw i nowell o zbrodniach stanu, naruszeniu publicznéj spokojności, obrazie władzy, pochwalaniu czynności karogodnych i t. p., których pełne było ówczesne ustawodawstwo prasowe i kryminalne austrjackie. Trzeba więc było dać pokój całéj sprawie, z któréj tyle narobiono hałasu, zakazano jednak najsurowiéj gimnazjastom nietylko wydawać pisane dzienniczki dla siebie, ale nawet pisywać do drukowanych.

Ukończywszy gimnazjum, Hálek miał iść na wydział teologiczny, stan duchowny jednakże nie odpowiadał jego usposobieniu, wbrew zatem woli rodziców, którzy mu zagrozili odmówieniem pieniężnych zasiłków, jeżeli nie pójdzie za ich wolą, obrał filologję, decydując się żyć z udzielania lekcji prywatnych. Na wydziale filologicznym spędził trzy lata, wykłady jednak jakich tam słuchał, nie dawały dostatecznéj karmi jego żywéj wyobraźni, uzupełniał je zatem pilnem uczęszczaniem na prelekcje filozofji i estetyki.

Jako poeta Hálek dał się poznać najpierw z utworów lirycznych i epicznych. W r. 1856—7 napisał liryczno-epiczny poemat p. n. Alfred (wydany w r. 1858), który dobrze przyjętym został przez szersze koła czytającéj publiczności, i przychylnie ocenionym przez krytykę. Tegoż roku wydał zbiór poezji lirycznych p. n. Wieczorne pieśni, których przekładem na język polski zajmuje się obecnie Władysław Bełza.

Około tegoż czasu młodsi literaci czescy zaczęli wydawać roczne pismo zbiorowe, w rodzaju noworoczników, dawniéj i u nas bardzo upowszechnionych, a dziś zupełnie wyszłych z mody. W drugim roku istnienia tego almanachu, noszącego tytuł Maj, Hálek objął jego redakcję i wydaje go odtąd corocznie, zasilając utworami swego pióra, wierszem i prozą. Rocznik ten należy do bardzo lubianych publikacji. Oprócz drobniejszych utworów w tym almanachu umieszczonym był w r. 1859 jego poemat Krasna Lejla, a jednocześnie wyszedł oddzielnie inny poemat p. t. Mejrina i Husejn.

Jako pisarz dramatyczny Hálek debiutował dramatem p. n. Carewicz Aleksy, który w 1860 r. został przedstawiony i znalazł bardzo przychylne przyjęcie, jakkolwiek znać w nim widoczne, niekiedy nawet niewolnicze naśladowanie Szekspira. W tymże roku poeta ubiegał się o nagrodę za najlepsze dzieło dramatyczne, wyznaczoną przez Fingerhuta. Posłał na konkurs aż dwa dramata: Zawisza z Falkensteinu i Król Rudolf. Obie wyróżnione zostały przez sędziów, a Zawisza przy głosowaniu o nagrodę otrzymał tylko o jeden głos mniéj od nagrodzonéj sztuki. Dramat ten przedstawiony na scenie znalazł jak najlepsze przyjęcie. Król Rudolf z rozmaitych przyczyn nie mógł być przedstawionym, wyszedł tylko w książkowéj edycji w 1862 r.

W roku 1861 Hálek wziął znowu udział w konkursie dramatycznym. Sztuka jego Król Wukaszyn otrzymała pierwszy akcessit. Oprócz tego napisał dla teatru tragedję p. n. Sergius Catilina.

Wszystkim utworom dramatycznym Hálka krytyka zarzuca zbyteczne naśladownictwo Szekspira i używanie niezbyt poetycznych wyrażeń, które mu podsuwa pod pióro chęć uczynienia języka plastycznym i naturalnym.

Zbiór pism Hálka wyszedł w dwóch tomach u J. L. Kobra w r. 1868, w zbiorze tym znajduje się także tragedja Carewicz Aleksy.

Oprócz prac poetycznych i scenicznych, Hálek nie-

mniéj jest czynnym jako dziennikarz. W r. 1861 redagował Slovanske besedy, w których umieścił romans swój p. n. Komedjant, po roku jednak wystąpił z téj redakcji i pisywał do rozmaitych dzienników jako to: Lumir, Posel z Prahy, Boleslavan, Obrazy żywota i t. p. Od chwili założenia dziennika Narodni listy był przez czas dosyć długi jego współpracownikiem i redagował odcinek; obecnie zaś jest redaktorem głównym tygodnika illustrowanego używającego bardzo wielkiéj i zasłużonéj wziętości p. n. Kvety.

Ostatniemi czasy Hálek wydał poemat p. n. Goar, przełożony już na język chorwacki, a prócz tego poemata: Czarny Prapor, Dziedzice Białéj Góry i Dziewczę z Tatr. Przekładem tego ostatniego na nasz język zajął się Władysław Ordon.

Wł. Sab.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Na św. Annę — czyli raczéj w wigiliją, jako w przeddzień święta pani Hanny Wójcickiéj, także mnóstwo u nich zbierało się osób.

Pamiętam w roku 1847. Piłam wody Marjenbadzkie w ogrodzie wód mineralnych Dekera. W przedzień św. Anny wróciłam z ogrodu nadzwyczaj unużona, nerwowa, cierpiąca Około południa przybył, jak zwykle, lekarz nasz i prawdziwy przyjaciel, doktór Chałubiński. Skarzę się — i dodaję, że dziś zapewne na imieniach nie będę.

— Ale gdzież tam! zaśmiał się. Dam pani leciuchny napój. Weź pani kąpiel. Po objedzie połóż się pani i prześpij pare godzin. O ósméj, dziewiątéj pojedź na uroczystość św. Anny, i potańcz do godziny drugiéj po półnccy.

Przepis szanownego doktora nie był zbyt trudnym do wykonania. Spełniłam go zatém jak najściśléj — a w końcu zasnęłam smacznie. Gdy w tém - była podobno już piąta godzina — August zlekka we drzwi zastukał.

— Nie śpisz, Polciu?

— Zbudziłam się właśnie.

— Przyszli Państwo Korzeniowscy,

— Poproś! Zabaw! Pospieszę zaraz!

I pospieszyłam miłych, szanownych gości powitać. Byli oboje państwo i dwie panny: Marja i Hanna.

— A to mi śpioszek! zawołała pani Korzeniowska, obejmując mnie przyjazno.

— Koleżaneczka znużyła się pewnie zbyt rozbujałą fantazją? zażartował nasz znakomity dramaturg, ściskając mi ręce obiedwie.

— Ależ bynajmniéj! Spałam wedle recepty doktora Chałubińskiego — i opowiedziałam cały przepis lekarski.

— Tańczyć aż do rana? Quelle douce violence! Dobry doktór, bardzo dobry doktór!

Czułam się, zaprawdę, już zdrową — a kochani goście moi wskrzepili mnie do reszty.

Późniéj przybyła pani Tekla Biesiekierska — żona pana Ferdynanda a siostra znamienitego obywatela, Antoniego Kraszewskiego z Kujaw, z Tarkowa posła na sejm berliński i niepospolitego mówcy, bo słowa głębokiéj nauki płynęły mu z duszy i serca. Przestawaliśmy dużo z tą rodziną — a pani Ferdynandowa okazywała mi zawsze życzliwości bardzo wiele. Byłam dla niéj ze szczególnym szacunkiem — bo zasługiwała nań wielce, jako kobieta rozumna, szlachetna — jako Polka-obywatelka — i matka wzorowa. Cześć jéj pamięci!—

Jakby w dziwném przeczuciu śmierci napisała mi w Albumie:

„Za łaskawe pozwolenie mieszczenia imienia mego w tem miłém sercu Twojemu gronie, tę składam prośbę:

Abyś choć czasem Twą pamięć zwróciła,
Na tę, co dla Cię tchnie przyjaźnią tkliwą—
I ją nawzajem tak kochać raczyła,
Ile ci życzy, byś była szczęśliwą. —
A gdy usłyszysz, ukochana Pani!
Że burzą życia jéj łódź skołatana,
Już żagiel zwinie u wiecznéj przystani —
Wznieś Twe westchnienie do zastępów Pana!

Umarła w roku 1850. — w czasie pobytu mojego w Zamościu. — Płakałam jéj szczerze. —

Ale wracajmyż do św. Anny! —

Mili goście zabawili wśród ożywionych pogadanek do godziny ósméj. Państwo Korzeniowscy odeszli — zaprosiwszy nas na jutro. A panią Biesiekierską odwiózł August na Nowy-Świat — gdzie mieszkali.

— Polciu, ubierz się tym czasem! napomniał jeszcze, podając rękę pani Ferdynandowéj.

Rzuciłam się więc zaraz do gotowalni — i byłam już przystrojoną zupełnie, gdy powrócił.

O pół do dziesiątéj weszliśmy do salonu państwa Wojcickich. Uścisnęłam kochaną solenizantkę. August oracją wypalił, z dewizą:

Lampa goreje,
Wiatr wielki wieje.

Zaczął humorystycznie — ucałował rączki pani Hanny — i serdecznemi zakończył słowami.

— Doktór nakazał tańczyć — zagadał do mnie gospodarz domu — więc potrzeba go słuchać!

A rozumie się, żem recepcie posłuszną była — i zaraz do mazura stanęła.

Po chwili spostrzegłam na kanapie siedzącą, nieznajomą mi panią: młodą jeszcze, blondynkę, biało-rumianą — z bystremi oczkami ciemnemi — uśmiechniętą — i pełną ożywienia.

— Któż jest ta pani w szafirowéj sukni? zapytałam mojego tancerza, Włodzimierza Wolskiego.

— Nie wiem. Nie znam jéj.

— Ma dla mnie coś nader sympatycznego.

— I wyraz inteligentny.

Po mazurze, szafirowa pani podała rękę gospodarzowi domu. Przeszli się po salonie. Przystąpili do mnie — i pan Kazimierz Władysław wyrzekł:

— Pani Seweryna Pruszakowa.

Uścisnęłam dłoń jéj oburącz. Usiadła obok — i zaraz pełna zajęcia zawiązała się rozmowa. Znałam już niektóre z jéj prac literackich — powierzone panu Wojcickiemu, więc i na przedmiocie nie zbywało.

Mówiła mi — co jako rzecz pochlebną zachowałam w pamięci — że powiastka moja: Sama jedna — przeczytana w samotności wiejskiéj, tyle wywarła wrażenia, że ją do pisania zachęciła. — Jak bądź! Jestem kobietą zawsze — i takie kwiatki przechowuję.

Pani Pruszakowa ukazała się tego wieczora po raz pierwszy w naszém gronie. Odtąd — zamieszkawszy Warszawę — bywała w niem ciągle i dodawała mu życia.

— A co, czy nie powiedziałem, że pani będziesz zdrową wieczorem? zagadał doktór Chałubiński, przystępując do mnie po chwili.

— Czuję się, zaprawdę, zdrowiuteńką — odrzekłam. — Uleczyła mnie nasamprzód recepta pańska, mili goście, mazur ochoczy — i towarzystwo przyjemne, które mnie otacza.

— Bo też to wszystko do recepty należało mojéj.

— Proszę zawsze o tak skuteczną i miłą.

Nazajutrz, z podwojoną gorliwością piłam Maria-Kreutzbrunn.

Wigiliją Bożego-narodzenia obchodzono w kole rodzinnem pp. Wójcickich — do którego jednakże i kilka osób nie pokrewnych, ale przyjaznych, zaproszonych zostało.

Obchodzono Gwiazdkę dla młodszéj dziatwy. — Gwiazd królową, czyli Gwiazdką była jedna z kuzynek, biało ubrana, w koronie. Przemawiała głosem pieszczonym z poza zasłony ze srebrnéj przędzy — i pacierz zmówić kazała. Co też dziatwa pobożnie wykonała klęcząc. — Augustowi przeznaczono rolę Gwiazdora. Ustrojono go w odwrócone tumaki, w kołpak niby hetmański z białém piórem — i długą przylepiono mu brodę. Przemowę do dziatwy miał w dosadnich słowach — zapytywał ich o królów polskich... — poczém posypały się cukierki, marcypany — i wniesiono hojenkę z przeroźnemi darami. — Zadzwięki fortepian — a na zakończenie uroczystości, zaśpiewano Kolendę.

Jest zwyczajem w Warszawie, że znajomi odwiedzają się w czasie świąt wielka-nocnych, by święconém podzielić się jajkiem — wedle obyczaju dawnego.

U państwa Wójcickich, w drugie święto, mnóstwo na Święcone zchodziło się osób Stół wystawnie zaopatrzony — bielutki baranek z chorągiewką czerwoną — przewyborne mazurki, jakich tylko jedna Warszawa dostarczyć potrafi; smaczne babki — placki — szynki — głowizna — pieczenie... — w koło gwar i wrzawa — wiwaty różne — przemówienia.. — otóż i charakterystyczny obrazek.

Zebrani pozostawali aż późno we wieczór — i tańczono niekiedy ochoczo bardzo.

Pan Kazimierz Władysław żył przez lat wiele w ściśléj przyjaźni z doktorem Rakowskim. Okoliczność jakaś zerwała ten związek... Obadwaj boleli nad tém — ale nie widywali się wcale — i unikali siebie nawzajem. Po latach kilku pani Hanna Wójcicka ciężko zachorowała. Mąż zrozpaczony przyzwał dawnego przyjaciela, który, jako lekarz, całe ich zaufanie posiadał. Doktór Rakowski przybył bez zwłoki. Pan Kazimierz Władysław biegł ku niemu z rozwartemi szeroko rękoma — padli sobie w objęcie — i zapłakali obadwaj.

Troskliwa opieka i nauka lekarza-przyjaciela, przywróciły pani Hannie zdrowie, tyle pożądane dla wszystkich. A przyjaźń dawna tém ściśléj znowu zwarła się teraz.

Kronika tygodniowa.

Najważniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia, było na dniu 6 maja posiedzenie akcjonarjuszy „Spółki budowy teatru polskiego w ogrodzie Potockiego w Poznaniu", na którém, po załatwieniu czynności przedwstępnych, sprawdzeniu ksiąg kasowych i wysłuchaniu sprawozdania dotychczasowego sekretarza komitetu pana Dr. Łebińskiego, przystąpiono do sporządzenia aktu notarialnego spółki. Skoro akt ów pod okiem notariusza p. Janeckiego wygotowany i przeczytany został w obu krajowych językach, nastąpił obór członków do rady nadzorczéj.

Znaczną większością głosów wybrani zostali panowie: Bniński hr. Adolf, Czarnecki hr. Stanisław, Dobrowolski Franciszek, Jerzykiewicz Władysław, Krzyżanowski Antoni, Łyskowski Mieczysław i Potocki Bolesław.

Tak więc, tyloletnie starania nasze, dzięki sprężystości dotychczasowego komitetu, pomyślny uwieńczył skutek. Za lat parę stanie gmach teatralny... Sztuka narodowa, znajdując nakoniec po długiém tułactwie bezpieczne schronienie, tém bujniéj rozrastać się będzie, im silniéj dotąd uciążliwym haraczem jéj wzrost tłumiono...

A imiona mężów wchodzących w skład rady nadzorczéj, dają wszelką rękojmię ziszczenia naszych nadziei.

* * *

Od p. Władysława Sabowskiego z Krakowa otrzymujemy w sprawie tłomaczeń jego poezji Petöfiego list następujący, którym, wchodząc tym sposobem w intencję autora, dzielimy się z szerszą publicznością:

„Szanowny Redaktorze!

Będąc w Lipsku w styczniu 1867 r. sprzedałem księgarzowi tamtejszemu Pawłowi Rhode spory tom przekładów moich z Szandora Petöfiego, najznakomitszego węgierskiego poety, wraz z obszernym życiorysem autora, oraz wiadomością bibljograficzną o jego pismach i przekładach. Stagnacja w interesach Rhodego, a następnie śmierć jego, nie pozwoliła mu ogłosić drukiem téj książki, któréj miał prawo wydać jedną edycję w nieograniczonéj liczbie egzemplarzy, z portretem Petöfiego, dostarczonym również przezemnie. Obecnie dowiaduję się, że rękopism ten jest do odstąpienia za cenę 150 tal. za pośrednictwem p. E. Ł. Kasprowicza w Lipsku. Idzie mi bardzo o to, ażeby praca moja, któréj ustępy, umieszczone w różnych pismach polskich, takie zaszczytne znalazły przyjęcie, ujrzała nareszcie światło dzienne, dla tego pozwól, Szanowny Redaktorze, że za pośrednictwem pisma twojego odwołam się w téj mierze do księgarzy naszych, a głównie do najzasłużeńszego z pomiędzy nich, p. J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Już to samo, że księgarz lipski, nie będący w świetnym stanie interesów i potrzebujący się ratować, nabył ten rękopism bez wahania, jest rękojmią, że na nim stracić prawie niepodobna. Z mojéj strony gotów jestem uzupełnić zbiór przekładami już po odstąpieniu go p. Rhodemu dokonanemi.

Mam nadzieję, że niniejsza moja odezwa nie pozostanie bez skutku.

Racz przyjąć, Szanowny Redaktorze itd.

Kraków d. 5 maja 1871 r. Wł. Sabowski."

* * *

Nie do pozazdroszczenia są losy naszych poetów i literatów...

Niedawno na tém miejscu pisaliśmy o śmierci Komara, który umarł z głodu na Mołdawji; dziś przychodzi nam podzielić się smutną wiadomością o losie jednego z najznakomitszych wieszczów polskich, twórcy „Zamku Kaniowskiego", „Uczty zemsty", „Sobótki", „Króla Zamczyska" i tylu innych utworów, przynoszą-

cych zaszczyt literaturze narodowéj, słowem o Sewerynie Goszczyńskim, o którym dochodzi nas wiadomość, że przez ciąg oblężenia Paryża, nie jedząc wcale mięsa, starcząc zaledwie na opędzenie najpierwszych potrzeb życia – opuchł z głodu i ciężko zachorował...

Wiadomo, jak przykrą była nawet we Francji tegoroczna zima...

Otóż poeta nasz, nie mając na drzewo, opalał biedną swą izdebkę książkami, przy których gotował zarazem lichą swoją strawę.

Cała biblioteka jego spłonęła w ten sposób.

A Goszczyński jest mężem twardego życia; chléb i szklanka mleka — rzadko kawałek mięsa — są jego zwykłem pożywieniem.

Przy takiéj uczcie, piszący to, zastał go w roku 1869 w Paryżu, kiedy jeszcze zajmował ubogi kącik przy Avenue de Belle Air... A było to wkrótce po wydaniu jego poematu „Posłanie noworoczne do braci.“

Wiecie ile wrzawy ten ostatni utwór siwego barda wywołał w całéj Polsce? Ale czy zapytaliście się w głębi duszy, jaką inną, prócz jałowych oklasków któremi gardzą duchy wieszcze, przyniósł on korzyść autorowi?

Kiedyś życie Goszczyńskiego będzie piękną kartą do nowéj księgi Plutarcha... Lecz cóż potomni powiedzą o narodzie, który pozwala wieszczom swoim umierać z głodu?...

* * *

I oto jeden jeszcze przykład

Franciszek Grzymała, redaktor czasopisma „Astrea“, które wielkiéj wziętości i powagi używało w Warszawie przed r. 1830, umarł w sędziwéj starości w Paryżu śmiercią głodową.

Powiecie pewnie — że to są czasy wyjątkowe, chwile zaburzeń, za które winy składać nie należy na jednostki, na jeden naród.

Zgoda....

Lecz powiedźcie mi łaskawi czytelnicy, czy w czasach pokoju literatura i literaci większéj używają opieki? Gdzie tam. Dla formy, dla przyzwoitości zresztą, lub dla odżegnania księgarza, który każdy szpargał z pod prasy narzuca wam bezczelnie, — kupicie jednę lub dwie książczyny na rok, — a zresztą cenniki machin i prospekta ulepszonych siewników, nadsyłane gratis, starczą za bibljotekę i lekturę.

Smutna perspektywa na przyszłość...

Budujecie fabryki, stawiacie warsztaty, jednoczycie spółki, zakładacie stowarzyszenia przemysłowe, wszystko to bardzo chwalebne, wszystko to świadczy o waszéj energji i skrzętności...

Ależ to są potrzeby materjalne, a człowiek nie z saméj składa się materji, jest w nim istota wyższa, równie łaknąca swéj lepszéj cząstki...

Pytam, coście zrobili dla ducha?

* * *

W poprzedniéj kronice, wspominałem o śmierci Zelmana Igla, dziś podzielić się mogę wiadomością, że syn tego antykwarjusza Hersz Igiel przybył do Poznania w zamiarze pozbycia kilku rzadkości bibliograficznych, między któremi znajduje się: „Biblja radziwiłłowska, wyd. 1563 w Brześciu Lit.“, „Statut Sarnickiego, Kraków 1593“, „Statut Herburta (po polsku) Kraków 1570“, „Herby rycerstwa przez Paprockiego, Kraków 1584“, „Ogród Król. Polskiego, Paprockiego w Pradze 1599“, „Psałterz Kochanowskiego z r. 1604“ i w. i. Ciekawi, przejrzyć dzieła te mogą w księgarni Spiro, gdzie dowiedzą się zarazem o ich cenie.

* * *

O teatrze polskim i o jego losach w grodzie świętego Wojciecha na teraz nic wam nowego donieść nie mogę. Wiecie zapewne z „Dziennika Poznańskiego“ jaki był repertoarz sztuk odegranych, i że „Frou-frou“, „Zemsta“ i „Marja Stuart“ Słowackiego najwięcéj przywabiły widzów. Ostatniemi czasy ruszyli się okoliczni obywatele, i wsparli gorąco usiłowania dyrektora Nowakowskiego.

Na dzień 20 maja oczekujemy spewnością powrotu naszych artystów do Poznania. **B.**

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

Scena V.

Lichocki (który po odejściu Biegańskiego padł na fotel obcierając czoło.) No i co?.... i co?.... to nieprzymierzając bieda dopiero!... Co ten pan Kościuszko tak rozkazuje!... i czego on chce odemnie?... i tak sobie... przez adjutanta!... Coż to?... Albo to ja nie prezydent? nieprzymierzając... Zwoływać radnych... lud... A jak Łukaszyn powróci?... to co? nieprzymierzając... nachajki pewne... A tu szubinica... Oho!... oho!... prezydenta nie tak łatwo powiesić... Jakiś tam Kościuszko!... ale zwołać radę trzeba... wprawdzie ta rada nasza!... Boże zmiłuj się, ale... (idzie do drzwi i otwiera) Héj Goljan sprosić mi na Ratusz starszych cechowych, a do mnie panów radnych...

Goljan. (za kulisami) Panowie radni idą...

Lichocki. Å! Bogu dzięki!... kiedy idzie o sprawę miejską, to sobie kpię z radą, ale w takich tarapatach, lepiéj, że człowiek podzieli się odpowiedzialnością...

Scena VI.

Lichocki i radcy, Wohlman, Kaspery, Laszkiewicz, Kuczerowicz, Wytyżkiewicz.

Wohlman. (pierwszy wchodząc) Niech będzie pochwalony...

Lichocki. Na wieki wieków... Witam ichmości panów... witam...

Laszkiewicz. Do stópek upadam... (witają się.)

Wytyżkiewicz. Najniższy sługa pana prezydenta.

Lichocki. Siadajcie!... siadajcie ichmość panowie radni... Co się to dzieje na mieście?...

Kuczerowicz. A cóż mości panie, insurrekcja Bogu dzięki!...

Lichocki (przerażony.) Insurrekcja!... a to zkąd!... Panie Kaspery!... czytujesz żurnale!...

Kaspery. Albo ja wiem!... w żurnalach nic o inssurrekcji nie było...

Wytyżkiewicz (n. s.) Ki to djabeł ta insurrekcja?... to coś cudzoziemskiego być musi...

Wohlman (z ironją). A cóż to? pan prezydent niekontent?...

Lichocki. Ale kto powiedział?... kto powiedział?... ja cały drzę z radości!... insurrekcja!... to ślicznie!... To niby nieprzymierzając o ojczyznę chodzi...

Kuczerowicz. A ma się wiedzieć... Miasto całe aż wre z radości!... Stary Kraków mości panie, pamięta czem był!... Choć ubogi wstał jak jeden chłop na głos naczelnika...

Kaspery (n. s.) Ja już martwy ze strachu!...

Łaszkiewicz. Pan prezydent chciał podobno zwołać radę?...

Lichocki. A tak jest... tak jest... nieprzymierzając...

Wohlman. Pan prezydent miał zwyczaj robić zawsze bez rady, co chciał.

Kuczerowicz. Prawda... święta prawda... mości panie!... pamiętam kiedy to o bruk na Grodzkiéj chodziło...

Wytyżkiewicz. Bo poco rada kiedy jest prezydent!...

Lichocki (żywo.) A broń Boże!... a broń Boże!... Ichmość dobrodzieje nieprzymierzając krotochwilki stroją... Ja zawsze z radą!... zawsze to robię, co ona każe!...

Wohlman (n. s.) Bodajci przepadł jak to prawda...

Lichocki. I teraz oto chciałem zasięgnąć nieprzymierzając mądrego Ichmość panów zdania... Ni ztąd ni z owąd pan Kościuszko kazał mi się przed sobą stawić...

Wohlman. A to trzeba...

Łaszkiewicz. Galopem! to się wie!...

Kuczerowicz. Nogi za pas i maszerować!... mości panie...

Wytyżkiewicz. Nic nie rozumiem...

Kaspery. Hm... hm... (n. s.) Jakie to ochotne...

Lichocki. Hm... hm... Każecie mi Ichmość panowie iść?... Ale zastanówcie się, czy to nieprzymierzając nie ubliży dostojeństwom prezydenta miasta... Jako stróże honoru municypalnego i nieprzymierzając ojcowie miasta, zbadajcie głębokim umysłem waszym, czy nie godniéj byłoby, żebym ja się usadził na przyzwoitem miejscu, to jest na stołku prezydenckim i ztąd z przynależną powagą odpowiadał panu Kościuszce, jak żebym na zawołanie leciał do tego Jegomości rozstasowanego u Imci pana Wodzickiego?

Wytyżkiewicz. Jak z książki gada!

Wohlman. Co to pan prezydent myśli... czy to pan Kościuszko pierwszy lepszy!...

Lichocki. A niech mnie nieprzymierzając ręka boska broni!... A gdzie tam... Ale ja muszę salwować klejnot municipium, a potem po co ja mam właściwie iść do niego?...

Łaszkiewicz. No, powitać jako gościa...

Wohlman. Polecić mu interesa miasta...

Kuczerowicz. Powiedzieć mu, że Kraków z nim na śmierć i życie, że mieszczaństwo, lud, wszystko co żyje ostatnią kroplę krwi za ojczyznę wytoczy... mości panie .. jak to i dawniéj bywało za barskiéj konfederacji: naprzykład... albo za Szwedów...

Wytyżkiewicz. Ho.... ho... śmierć i życie... co to u djabła znaczy?... nigdy w radzie o takich rzeczach nie gadali!...

Lichocki (niecierpliwie). Co znowu!... co znowu!.... Zkąd się to ichmościom wzięło!.... — Bo jeno posłuchajcie waszmości moich explikacji... Albo to pan Kościuszko nieprzymierzając urzędnik jaki, abo magnat.. abo pan z panów?!.... Gdyby to nieprzymierzając pan margrabia przyjechał, abo pan wojewoda ruski, nie mówię... przed takiemi personami, Kraków i ja, jego prezydent czołem uderzyć jesteśmy i będziemy gotowi i pokorne u ich stóp złożyć służby; ale pan Kościuszko, nieubliżając, taki sobie obywatel jak i drugi.... A gdybyć ja chciał podobną jemu szlachtę komplementować i witać, musiałbym we wtorek, czwartek i piątek nic nie robić, jeno od rana do wieczora po targowisku chodzić!... a powitania i komplementowe insynuacje — miasta im opowiedać.

Wytyżkiewicz. Jak on gada... jak gada!... tęgi łeb...

(W czasie téj mowy często znaki niezadowolenia u trzech radców.)

Kuczerowicz. Eee! do stu djasków co to waść, mości panie prezydencie wyplatasz!... Bajesz jakbyś się nie w Krakowie urodził!...

Łaszkiewicz. Na Kościuszkę ani mrumru!... bo źle będzie! jakem radny!

Wohlman. Pan Kościuszko wart więcéj jak wszystkie wojewody i prezydenty!...

Lichocki (zaperzony). Waść miastu ubliżnisz... ale ja wiedziałem! ichmość panowie chwyciliście nieprzymierzając zarazy jakóbińskiéj...

Kuczerowicz. Co tam waść mości panie z jakóbińską zarazą wyjeżdżasz... Ja taki katolik dobry jak i inny... ale pana Kościuszkę kocham bo on nam ojczyznę wyzwoli... wybieraj się wasze mości panie prezydencie!....

Lichocki (n. s.) Zapozwoleniem, zapozwoleniem... A waść panie Kaspery?... Jesteś poczthaltrem!.... czytujesz żurnale .. poradź!...

Kaspery (zaambarasowany). Ja?... ja?... ja nie wiem... pan prezydent znasz mię przecie... ja się nigdy w radzie nie odzywam .. nigdy w życiu... jak pragnę zbawienia duszy.... Nas jest kilkunastu takich.... zawsze za pluralitas idziemy... To najpewniejsza droga... (n. s.) Choć i za to krzyczy, hołota!...

Lichocki. No, a pan, panie Wytyżkiewicz?...

Wyżytkiewicz. Ja zawsze z panem prezydentem... pan prezydent biało, ja biało, pan prezydent czarno, ja czarno....

Wohlman. Ho.... ho... wiemy my że waszmość to jak pusta beczka!.... tylko echo odbijasz.

Wytyżkiewicz. Hi... hi... to już moja taka natura.... ja za starszyzną....

Kuczerowicz. Ale, tu sprawa honorowa mości panie! Czy Kraków ma się zbłaźnić czy nie... czy jest po staremu polskiem... czy z Targowicą trzyma, trzeba własne swe zdanie objawić...

Wytyżkiewicz (przestraszony.) Trzeba?..... koniecznie trzeba?...

Łaszkiewicz. Koniecznie!... A kwestja jest... czy prezydent ma iść, czy nie iść do pana Kościuszki?... A głosować sumiennie..

Wyżytkiewicz. Sumiennie?..... a to ja się namyślę. (odchodzi na bok, ale staje przodem do widzów naprzód puka w palce mrucząc.) nie bardzo wiem o co chodzi... człek przywykł spuszczać się na prezydenta (puka palcami.) Iść... nie iść... iść... nie iść? (p.k.n.) E, nie, to nie pewne!.... (rachuje pętlice u czamary.) Nie iść... iść... nie iść... iść ... iść... jak Boga kocham, wypadło żeby iść.... Ha!... sumiennie każe iść!...

Lichocki. No jakże mości panie Wytyżkiewicz namyśliłeś się wasze sumiennie?

Wyżytkiewicz. A jakże, a jakże!... sumienie moje powiada, żeby iść.

Wohlman i Kuczerowicz. Brawo! panie Wytyżkiewicz, brawo!

Lichocki (n. s.) I ten niedołęga skrewił (głośno.) no, a między ichmość panami zaczem pluralitas?

Wohiman. Iść natychmiast!

Łaszkiewicz. Kłusem, kłusem panie prezydencie!...

Kuczerowicz. I czołem przed panem Kościuszką, mościpanie!.... podziękować, że do Krakowa przyjechał najprzód, powiedzieć że Kraków go nie zawiedzie i pokaże mości panie, że jest zawsze stolicą Polski i kocha ją całem sercem....

Lichocki. A no!... kiedy tak!... ale nieprzymierzając protestuję... protestuję... prezydenckiéj dignitates broniłem do ostatniego tchu. Responsabilitas spadnie na waszmość panów!... Ja zaraz (słychać za sceną: Wiwat! wiwat! niech żyje!...)

A to co?...

Wohlman (wyglądając oknem.) Jenerał Wodzicki tu idzie, a za nim lud...

Lichocki. (przerażony.) Jak Boga kocham!... nie przymierzając, czyby...

Kaspery (n. s.) Może po mnie!... i za co? za kilka listów przejętych! Mój mocny Boże, ratuj niewinność zagrożoną...

Wytyżkiewicz. Miał ten iść... a teraz tamten przychodzi — nic nie rozumiem.... (Lichocki niespokojnie zaciera ręce i nieśmiało postępuje do drzwi, te się otwierają wchodzi Wodzicki za nim oficerowie, mieszczanie, lud w tłumie Feliks, w ciągu sceny Andzia i Scholastyka z prawéj strony.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korespondencje: Ze Lwowa i z Warszawy.

Lwów 1 maja.

Dwoma najbardziéj rażącemi nas przytuliskami giermanizmu są dwie instytutcje: niemiecki teatr i niemiecki uniwersytet. Pierwszą szczególnie nader trudno wyrugować. Skarbek, zakładając teatr w smutnych jeszcze czasach ucisku, otrzymał pozwolenie założenia teatru narodowego tylko za cenę ufundowania i uprzywilejowania niemieckiéj sceny; chociażby więc nawet polska publiczność lwowska solidarnie nie uczęszczała na przedstawienia niemieckie, chociażby się nawet jawnie okazało, że dla niemieckiéj części żydowstwa i bardzo szczupłéj liczby Niemców we Lwowie zamieszkałych, osobnéj sceny utrzymywać nie warto, — teatr niemiecki nie przestanie istnieć, jako pasożyt skarbkowskiéj fundacji; temu to dobrodziejstwu zawdzięcza kraj nasz, że inne dobroczynne fundacje Skarbka, z braku funduszów, chłoniętych przez scenę niemiecką, do skutku przyjść nie mogły.

Drugie przytulisko germańszczyzny uniwersytet lwowski, pod każdym względem smutny przedstawia widok. Zagnieździła się w nim nieprzyjazna polszczyznie klika niemieckich profesorów, przeważnie staréj daty, którą także nie łatwo wyrugować. Wskutek tego w ogóle uniwersytet jest instytucją w całém tego słowa znaczeniu niemiecką, a kancelarja nie przyjmuje podania polskiego, kiedy już we wszystkich dykasterjach język urzędowy jest polski. Mamy cztery stałe katedry polskie, nadto kilku docentów wykłada po polsku. W wydziale prawnym stosunkowo dość jest polskich katedr, filozoficzny, dotychczas zupełnie prawie niemiecki, w krótkim czasie może się spolonizować. Dotychczas jest tylko jedna polska katedra: literatury i języka polskiego (Antoni Małecki, i Xawery Liske obaj Wielkopolanie) autor studjow nad wiekiem XVI. i wielu cennych rozpraw historycznych, wykłada jako docent historję powszechną. Obecnie cztery katedry w wydziale filozoficznym są opróżnione (historja, matematyka, botanika i literatura niemiecka); skoro więc je otrzymają Polacy, żywioł narodowy znaczenie się wzmoże w kolegium profesorskiem, a zdaje się, że i co do języka wykładowego nie będzie tak dalece trudności. Zresztą już i profesorowie niemieccy pojmują, jak niewłaściwe jest ich stanowisko w naszym kraju i gorąco domagają się od ministerjum, aby ich przeniesiono na inne uniwersyteta.

Niemczyzna więc może zniknie niebawem z naszego uniwersytetu, trudniéj jednak usunąć drugą plagę, złe organiczne, jakie w mieście naszém rozbujało, większe nieszczęście, aniżeli to się na pierwszy rzut oka wydawać może. Myślę o duchu, jaki panuje pomiędzy młodzieżą uniwersytecką. Próżniactwo, hulanka, trwonienie drogiego czasu na bezpożyteczne zajęcia, objętność dla spraw narodowych, — oto główne rysy przeważnéj części uniwersyteckiéj młodzieży, któréj część majętniejsza znana jest pod nazwą techniczną „młodzieży tombakowéj.“ Na wykłady zaledwie bardzo szczupła część uczęszcza, a charakterystyczném jest, że na kolegium Dr. Liskego: „O epoce wielkiéj rewolucji francuzkiéj“ zapisało się siedmdziesięciu słuchaczy, prawie nigdy zaś nie było więcéj na wykładzie nad ośmiu.

Ze spraw uniwersytetu najdogodniéj przejść do wykładów publicznych. Nie mieliśmy ich zbyt wiele w tym roku; oprócz publicznych kursów dla kobiet, urządzonych przez Tow. pedagogiczne, a późniéj zreorganizowanych — i 12 wykładów Henryka Schmidta: O rewolucji polskiéj r. 1831, rozpoczął się właśnie teraz szereg 4 wykładów na cel dobroczynny.

Od Wielkiéjnocy mamy doroczną wystawę obrazów, urządzoną przez Tow. Sztuk Pięknych, a zwiedzaną, jak dotychczas, bardzo nielicznie. Posiadamy na niéj znany obraz M. A. Piotrowskiego (z Królewca): „Ostatnie chwile Wandy.“ Zszedł się z nim drugi, pokrewny mu treścią obraz Aleksandra Lessera (z Warszawy) przedstawiający znalezienie zwłok Wandy; jest on niezaprzeczenie dotychczas jednym z najlepszych obrazów na naszéj wystawie, razi jednak niesłychanie wymuszonością postaci i teatralném ich ugrupowaniem; pod względem techniki należy mu się wszelka pochwała, ale mało w nim życia, prawdy i ciepła. — Miłym wielce jest obraz Kazimierza Mireckiego (z Krakowa): „Polowanie średniowieczne z sokołem.“ Dwie damy zamkowe wychodzą z psem i sokołem na łowy; ujmująca niewinność rozlana na wdzięcznych młodych twarzyczkach, niemniéj strona techniczna obrazu czynią zeń jednę z najpiękniejszych ozdób naszéj wystawy. Niedawno nadszedł historyczny obraz Eliasza (z Krakowa): „Obrona Krakowa przez Czarnieckiego.“ Zarzucić możnaby mu nieszczęśliwe ugrupowanie: osoby na pierwszym planie niesłychanie ściśnięte i w ogóle nieco nienaturalnie ugrupowane; również na perspektywę nie zwrócono dosyć uwagi. Za to plastyka w postaciach pierwszego planu jest prawdziwie świetną. Szereg obrazów historycznych kończy Suchodolskiego Januarego (z Warszawy): „Szturm do Saragossy“, scena wojenna z prawdą i życiem przedstawiona, o bladym kolorycie, i Löfflera Leopolda (z Wiednia): „Odkrycie źródła przez spragnionych krzyżowców.“

Z pomiędzy obrazów nie-historycznych, przedewszystkiém wymienić należy świetny portret Bohdana Zaleskiego, pędzla Maleszewskiego Tytusa (z Paryża). Powaga i natchnienie przebija z czoła wieszcza „Ducha od Stepu"; również i świetną techniką odznacza się ten obraz. — Życie i prawda maluje się w „Obawie o wąsy", niewielkim obrazku rodzajowym Leopolda Löfflera. — Z pomiędzy krajobrazów godna wspomnienia „Powódź" Henryka Grabińskiego (we Lwowie).

Z niecierpliwością oczekujemy przyjazdu dwóch gwiazd naszego świata artystycznego: Modrzejewskiéj i Królikowskiego; prawdziwą byłoby niespodzianką, gdybyśmy ich choć w jedném przedstawieniu razem na scenie oglądać mogli. Wyście szczęśliwsi, waszą młodą scenę wsparł potężny talent Rychtera; myśmy nie mieli sposobności od przeszłorocznego pobytu Królikowskiego i Modrzejewskiéj, widzieć króregokolwiek z pierwszorzędnych artystów: tém bardziéj więc cieszymy się na warszawskich gości. **S. A. S.**

Warszawa 2 maja.

Piszę do was list ten w przeddzień uroczystego dnia w żywocie narodowym, który winniśmy obchodzić w smutku łzawym i bólu... A już to teraz doba samych dni pamiątkowych i wspomnień poruszających najdelikatniejsze fibry człowiecze. Na dniu 23 kwietnia obchodziliśmy uroczyście stuletnią rocznicę urodzin Jerzego Samuela Bogumiła Lindego. W kościele tutejszym ewangielickim ks. Ludwig miał mowę, w któréj przebiegłszy żywot znakomitego męża, wskazawszy na jego prace i trudy poniesione dla narodu i języka, napomknął ażeby przyszłe pokolenia tym torem gwiaździstym szły daléj. Przed ołtarzem stał biust Lindego z wieńcem dębowym na czole, otoczony kwieciem egzotyczném — a poniżéj nieco, sześć tomów pomnikowéj jego pracy. Instytut muzyczny pod przewodnictwem Ap. Kątskiego wykonał ślicznych kilka ustępów muzyczno-wokalnych — a redakcja „Kłosów" poczęła drukować w szpaltach swoich żywot Lindego. Przy téj sposobności złożono kilkaset rubli na stypendjum dla studentów uniwersytetu, imienia Lindego.

Już to przyznać trzeba, że Warszawa jest arcymiłosierna, gdzie tylko idzie o czyn dobroczynny, tam znajdziesz publiczności mnóstwo. Widocznie, że przebolawszy wiele, umie szanować i osładzać cudzą boleść. I tak n. p. na drugiém przedstawieniu „Wandy" publiczności było jak to mówią, jak nabił, bo dochód szedł na studentów uniwersytetu... Deotyma pisze znowu dramat p. t. „Krakus"; — przyznamy się jednak szczerze, że Wanda nie wygląda na arcydzieło, jak to prasa tutejsza siejąc pochwały dla wieszczki, często, czasem aż nadto często powtarza. Być może, że wasz korespondent pod tym względem jest profan — a strzeżcie się, bo jeszcze nieboszczyk Horacy wołał:

„Odi profanum vulgus et arceo..."

W literaturze tutejszéj nic nowego — zbliżają się czasy ogórkowe, więc wszyscy poczynają drzemać; — ale za to Wisła wzbiera i wygląda tak, jakby miała ochotę pochulać po nadbrzeżnych ulicach.

Ogród Saski, owo miejsce schadzek wszystkich warstw społeczeństwa tutejszego poczyna się zielenić, choć jakoś leniwie... Ale za to w cieniach, pod drzewami, roją się już pary miłosne, szepczące sobie słowa kochania, kradzione uściski rąk, całusy... Cóż robić? moralista jakiś zasuszony, pedant, zżyma się na to, oburza, rusza ramionami.. a świat pomimo to idzie dalej, pcha swój ciężar, kocha się, szaleje, rodzi i umiera... Wiosna budzi się wraz z pierwiosnkami, fijołkami i liściem szmaragdowym i w piersi dziewczyny od słońca złotego różowéj, budzą się na przekór moralistom, mamom, babciom, ciociom i wszystkim Cerberom w spódnicach, uczucia miłosne... A Warszawa dziwnie zapamiętale umie się kochać. Leży to już w oddechu miasta. Coś w nim drzy i płacze.

Zresztą nic ważniejszego, nic nowego. Polityką się nie umiemy i nie chcemy już bawić, więc zajmują nas tylko sprawy codziennego życia, plotki i kłopoty zwyczajne. Jeżeli chcemy odświeżyć ducha, odetchnąć tchnieniem gienjuszu, idziemy na Hamleta, gdzie Ofelia w postać pani Modrzejewskiéj wcielona, kroczy po scenie łzawa i piękna nad podziw.... A zresztą deszcz często pada, Niemcy koncerta organizują na korzyść rannych swych wojowników, na których oni tylko bywają, a my czekamy... na co? alboż ja wiem! na coś co nas zbawić, wyratować powinno — chociaż:

Nim słońce zejdzie rosa oczy wyje,
A Moskal trzyma, jak trzymał za szyję!

— Od innego korespondenta odebraliśmy z Warszawy wiadomość o nowych pracach Wacława Aleksandra Maciejowskiego. Autor „Historji prawodawstw słowiańskich," w drugiem, zupełnie nowo przerobionem wydaniu swojego dzieła, zapowiedział: że po ukończeniu téj pracy przedsięweźmie nową, poświęconą głównie zbadaniu praw polskich, po za kresem, do którego historją prawodastw słowiańskich doprowadził, skodyfikowanych, z wykazaniem styczności kodyfikacji téj z prawami ludów ościennych. W tym celu postanowił pracować nad dwoma dziełami, z których jednego, pod napisem Przegląd najnowszych prawodastw Słowian artykuł pierwszy, ukazał się właśnie w druku; a drugiego, pod tytułem Dopełnienia historji prawodastw słowiańskich, pierwszy również artykuł ma w przyszłym roku wyjść na widok publiczny. Artykuł ów w druku pojawiony opowiada, jak w jednym prawie czasie (w drugiéj połowie upłynionego wieku) powzięta myśl w Rossji i w Polsce o skodyfikowaniu praw, przyszła tam do skutku w latach 1832—57 (swod zakonow rosyjskoj imperji), a u nas spełzła na niczem, gdyż zbiór praw sądowych przez byłego kanclerza wielkiego Andrzeja Zamoskiego z woli sejmu skodyfikowany i przez tenże sejm w r. 1780 odrzucony, sankcji prawa nie uzyskał.

Autor historji prawodawstw słowiańskich, przenosząc poza jéj kres dzieje prawodawstwa Słowian, zastanowiwszy się w owym artykule nad tem, z jakich materjałów dziś obowiązujące prawo rossyjskie powstało, a w szczególności dawszy pogląd historyczno-krytyczny na rossyjskie prawo cywilne; zamierza w artykule następnym dać takiż pogląd za zbiór praw sądowych a to tem bardziéj, gdy praca Andrzeja Zamojskiego zasługuje ze wszech miar ażeby się z nią obznajmiono bliżéj Wystąpiła bowiem pierwsza w zakresie dzisiejszym prawodawstw europejskich, dała im otuchę do objawienia się światu, i wskazała jak się układać i rozwijać mają. Oceniając materjały z których zbiór praw sądowych powstał i w dodatku do tego co o nim stoi w historji prawodawstw, przedstawiając stronę zbioru dodatnią czy ujemną, zamierzył W. A. Maciejowski przy tem oceniać dzieła największéj doniosłości, jakie po wydaniu napisanéj przezeń historji prawodawstw, wyszły na publiczny widok. Jednem z nich jest niezaprzeczenie praca, której ocenieniu zamierza osobny poświęcić artykuł i postawić go na czele dzieła, mającego ukazać się pod nazwą „Dopełnienia historji prawodawstw." Artykuł ten obejmie: Pogląd na życie i pisma Antoniego Zygmunta Helcla, z uwzględnieniem głównie pracy jego około wydawnictwa starodawnych prawa polskiego pomników podjętéj, i z wykazaniem, co z tego dzieła dla dziejów Polski, osobliwie wewnętrznych, przybyło nowego.

Dzieło Helcla, chlubę narodowi polskiemu przyno-

szące, z szczególną troskliwością, W. A. Maciejowski opracował. Rozwarzył w nim co ono nowego przyniosło wiedzy o prawie zwyczajowem i ustawowem polskiem aż do wieku XVI. wyłącznie, i co ztąd nowego dla trzech z dzieł swoich, do których największą przywiązuje wagę, zaczerpnął, a mianowicie co przybyło dla wiedzy o historji prawodawstw, tudzież co o Polsce pod względem obyczajów i zwyczajów rozważanéj, nakoniec co dla Polskiego piśmiennictwa?

Oby zdrowie Autorowi dopisało i okoliczności były po temu ażeby mógł wydać zapowiedziany artykuł co prędzéj. —

Małpa.

Na szlacheckim dworze,
Zrazu w pokorze,
Późniéj zbutniała,
Małpa mała
Się chowała.
Uciech tysiące
Miały służące,
Pany i panie;
Widząc małpeczkę,
Gdy się w czapeczkę
Swego pana ubierała...
Gdy wąs butnie podkręcała...
Gdy jego ruch, chód, obroty,
Zarzucając w tył wyloty,
Wierutnie naśladowała,
Co do joty!
Tak w tym domu wychowana,
Gdy poczuła odjazd pana,
Nuż w tę dobę,
Ubierać się w garderobę:
Nos w kukiery ozdobiła,
I cygaro zapaliła;
Nucąc pod nosem piosenki,
Wzięła szpicrutę do ręki,
I bakalij się najadła...
W końcu przede dworem siadła!
Tu los zdarzy,
Że przyszło dość gospodarzy,
By za zdeptane klepisko
Pod rzepaku wymłócenie,
Zakupić po tańszéj cenie
Dla krówek — dworskie pastwisko.
Zamiast pana — gdy zoczyli
Tylko małpę, — nie skłonili
Się przed dworem,
Dawnych sług dworskich splendorem;
Lecz gromadnie,
I przykładnie,
Stają ładnie:
Do małpy się uśmiechają
I na pana wciąż czekają...
Tego małpie nadto było!
W ślepiach jéj się zaiskrzyło,
I krzyknęła,
I sapnęła,
I nuż wzięła z wielką butą,
Wywijać pod nos szpicrutą,
Gospodarzom i parobkom,
Nawet chłopkom!
Tak się swą szatą zwydrzyła,
Że w twarz kilku uderzyła...
Gdy do tego doszło było,
Kilku jéj tył zaskoczyło,
I za ogon, i za łapy,
I za surdutowe klapy,
Naraz małpę połapali,
Boki wykułakowali, —
Okulary potrzaskali, —
Bijąc pięścią wciąż w karczydło,
Słowem: sprawili jéj mydło!

* * *

O wy! co na chłopka pocie,
Zyskujecie polskie krocie
By je strwonić na obczyźnie;
Wy! co w swéj duszy zgniliźnie
Stare przodków cnoty, dwory,
Na tytuły i honory
Zamieniacie......
A gdy zabraknie pieniędzy
Mimo ludu biedy, nędzy,
W najprzykrzejszéj już godzinie,
Gdzieś na ostatniéj wioszczynie,
W regestr karczem zaglądacie,
I z żydem za „panie bracie“
Szachrując z sumieniem letko:
Rachujecie dwójną kredką;
Wy co zamiast jednéj szkoły,
Stawiacie trzy propinacje,
W których ginie dobro kmieci:
I bydełko i stodoły;
Gdzie w końcu przez licytację
Wyprzedadzą własne dzieci:
A za wszystkie te niedole,
Za te lęki,
Za te bole.
Z waszéj ręki,
Gdy im więcéj nic nie dacie,
Nad ciągłe wyzyskiwanie:
Jakież podobieństwo macie,
Do téj małpy wyuzdanéj,
A w pańskie suknie ubranéj?!
Naród nawet dziś nie czuje,
Kto z was kogo naśladuje!...

Sambór 1871. **Br. Rola Rakowiecki.**

Skrzynka do listów.

P. S... A... S... we Lwowie: Serdecznie dziękując za nadesłaną pracę i za okazaną nam życzliwość, oczekujemy Jego adresu.

A. B. w H.: Gdyby w „Pamiętniku cioci“ było więcéj treściwszych kartek, racz pani nam ich udzielić. Nadesłany urywek sam w sobie nie ma żadnego donioślejszego znaczenia.

X... Dr... w Brukseli: Odebraliśmy trzy franki w osobnéj przesyłce.

P. Jędrzejowi P... w Rzeszowie: Cztery złr. w. a. otrzymaliśmy i wdzięczni jesteśmy za wyraz życzliwości, zawarty w Jego liście.

Sprostowanie.

W num. 18 „Tygodnika Wielkopolskiego“ na str. 218 w artykule Dr. Libelta w szpalcie 1 zamiast koterją, ma być kohezyą, a w szpalcie 2 zamiast gorglionów, ganglionów.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.